ROK 1. Bądźmy dobrzy dla zwierząt. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 10 listopada 1929. 40.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



ORKA. Reprodukcja obrazu Ruszczyca.

JANINA MASZEWSKA-KNAPPE.

KULTURALNE ZNACZENIE POLSKIEJ LIGI PRZYJACIÓŁ ZWIERZĄT.

O poziomie kulturalnym danego narodu świadczy w dużej mierze jego stosunek do świata zwierzęcego. To też narody przodujące obecnie światu swoją kulturą, mają szeroko rozgałęzione i czynne Tow. Op. nad zwierzętami, których działalność humanitarna obejmuje wszystkie dziedziny świata zwierzęcego, które zakładają przytułki dla zwierząt bezdomnych, lecznice, czuwają nad ubojem w rzeźniach — słowem stanowią prawdziwą, głęboko obowiązkowo pojętą placówkę.

Cywilizacja bowiem nakłada na społeczeństwa obowiązek zwalczania wszelkiej nędzy, tak ludzkiej jak zwierzęcej. Jeżeli niektórzy myślą, że wobec ogromu nędzy ludzkiej nie powinno się wiele uwagi poświęcać zwierzętom — to się mylą. Należy pamiętać i głęboko to rozumieć, że wszędzie jest jedno życie — czy ono się tli w człowieku, czy zwierzęciu i że niesienie pomocy w celu usuwania czyichkolwiek cierpień, tak ludzkich, jak zwierzęcych — jest pomocą niesioną temuż jedynemu, wielkiemu życiu! Jeżeli bowiem straszną jest nędza ludzka, chociaż człowiek może wołać o pomoc dla siebie, to stokroć straszniejszą jest jednak nędza zwierząt, których mowy i rozpaczliwego wołania naogół się nie rozumie, a które same sobie w swych cierpieniach pomocy nieść nie mogą.

Człowiek nie po to tylko egzystuje na globie ziemskim wśród świata zwierzęcego, aby ciągnąć jedynie z niego dla siebie korzyści, aby zwierzęta wyzyskiwać lub je unicestwiać. Człowiek ma w tym kierunku zadanie stokroć szlachetniejsze i wyższe... współżycie ze zwierzętami nakłada na nas obowiązek moralny otaczać je swoją opieką, szanować ich ból, liczyć się z ich potrzebami.

Anglja dawno już zrozumiała doniosłość kulturalnego znaczenia litości nad zwierzętami. W myśl hasła tamtejszych Tow., które głosi, że *„obojętnych na niedolę zwierząt i ludzka niedola nie wzruszy“*, rozpowszechnione tam są t. zw. „Związki litości dla zwierząt“ wśród młodzieży wszystkich stanów, które mają na celu łagodzenie obyczajów i pracują w tem przekonaniu, że ludzie bywają źli i okrutni tylko dlatego, że nie nauczono ich dobroci od dzieciństwa.

Pierwszy taki związek powstał w Londynie, w 1875 r. Rota przysięgi tych związków jest bardzo prosta: „przysięgamy przez całe życie być dobrymi dla zwierząt i czynić wszystko, co jest w naszej mocy, aby je bronić od okrucieństwa złych ludzi“.

Związki Litości tak się obecnie rozpowszechniły w całej Anglji, że istnieją tam one nietylko w dużych miastach i miasteczkach ale po wsiach, oraz w kolonjach angielskich — w Indjach, Australji, Kanadzie i Afryce, gdzie liczą się one na tysiące i gdzie wciąż jeszcze nowe powstają.

Za przykładem Anglji poszła i Ameryka i w samych Stanach Zjednoczonych liczą sobie Związki Litości miljony członków. Związki te starają się szczepić swoje idee za pomocą odezw, odczytów, przedstawień teatralnych, odpowiednich książek, oraz za pomocą pisania w szkołach wypracowań na temat dobrego obchodzenia się ze zwierzętami. W Anglji bywają corocznie ogłaszane konkursy na wypracowania w tej dziedzinie, w których udział biorą wszystkie szkoły angielskie, rozdawanie zaś nagród za najlepsze wypracowanie odbywa się w Londynie z wielką uroczystością.

Oby to i nasza polska młodzież w ślady tamtych poszła. Jak bardzo byłoby to pożądane w imię dobra przyszłości i jak uszlachetniłoby charakter przyszłych pokoleń w myśl hasła „że: obojętnych na niedolę zwierząt i ludzka niedola nie wzruszy!“

EWA SZELBURG-ZAREMBINA.

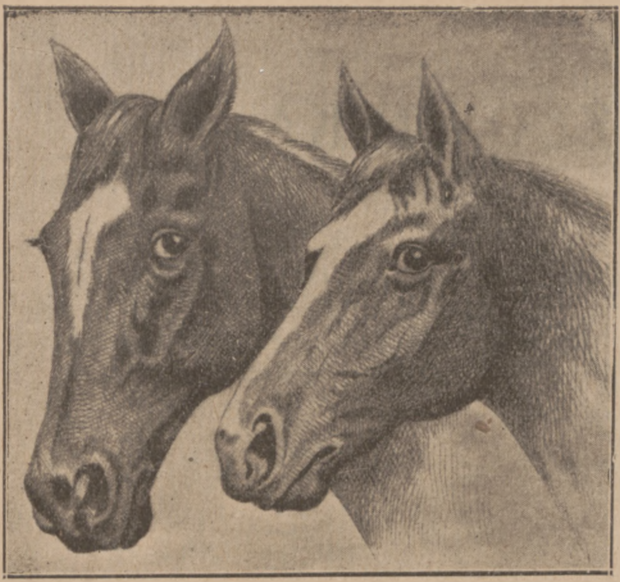
SŁUŻBA U CZŁOWIEKA

Co myśli ślepy koń,
Gdy wreszcie po którymś tam kursie nad ranem,
Przystanie na rogu ulicy,
Pod czarnym umarłym kasztanem?
I kaszle głucho,
Boleśnie robiąc bokami,
Które są tylko skórą,
Które są tylko ranami?
Co myśli stary koń,
O kościach wciąż rachowanych batem,
W twarde chomąto i w dyszle
Zakutych zimą i latem?
Pracujący tak bardzo cierpliwie,
Tak chętnie i tak uczciwie!
A przez człowieka nie miany nie tylko za zwierzę,
Ale za nic.
Ciężka jest dola jego,
I smutek smutny bez granic.
Po takim życiu w jakiś dzień ponury
Przyjdzie do stajni Śmierć i powali szkapę, aby jak hycel odrzeć ją ze skóry.
Tylko jedna jedyna nadzieja,
Że Bóg jest Ojcem wszystkiego stworzenia,
Więc się już jakaś rajska łąka rozprzestrzenia,
I z trawą zieloną czeka
Na tego służkę bożego,
Po piekle w Służbie Człowieka.

W OBRONIE KATOWANYCH KONI

Jakże częsty a bolesny widok w naszem mieście przedstawiają konie, zaprzężone do przeładowanych ciężarami wozów, których uciągnąć nie mogą. Szamocą się wtedy rozpacznie ze swoim ciężarem; w lecie spływa po nich pot, zimą zalewają je strugi deszczu. Poprzez biedną, obitą, obolałą ich skórę widać rozpaczliwy wysiłek mięśni, prężących się do pociągnięcia ciężaru, przechodzącego ich siły.

„Wtedy piękne, szlachetne ich oczy, pełne rozpaczy, zwracają się na ludzi z niemem błaganiem o pomoc i zlitowanie się nad nimi. W odpowiedzi zaś na to, spadają, na trzęsące się, osłabione, obolałe ich nogi, bezlitosne cięgi bata,



znaczącego krwawe pręgi na skórze. Głowy ich walą uderzenia kozicy, brzuch kopią nogi rozbestwionych, okrutnych woźniców.

W taki sposób odpłacają się ci ludzie, bez sumienia i zastanowienia, wiernym swym towarzyszom i współpracownikom, których wysiłki zabezpieczają byt całych ich rodzin! To koń przecież zarabia i utrzymuje rodziny swoich woźniców. Czy właściciele koni pomyślą jednak kiedy, ile tym szlachetnym, nieszczęsnym zwierzętom zawdzięczają?! Ileż to strasznej, okrutnej niesprawiedliwości widzi się w życiu, na każdym niemal kroku, w stosunku do zwierząt! Czy ludzkość nie rozumie tego, jaką hańbą i plamą na cywilizacji XX w. jest krzywda, zadawana bezbronnym istotom? Czy świadomość ludzka nie powinna się wzdragać na widok podobnej podłości?...

H. BOGUSZEWSKA.

MOJE ZWIERZĘTA.

I.

Wiosną na ziemi koło stajni znalazłam małą jaskółkę. Jest brzydka, goła, składa się z żołądka i z gardzieli, z niepomiernie szeroko rozciętym dziobem. Oczy ma, jak dwie gałki, okryte skórą. Nad niemi śmiesznie się chwieją nitki pierza.

Ułożyłam ją w koszyczku z watą, okryłam kołderką. Czarna w białe łaty kotka zwana „Kotą“ już posłyszała jej pisk, już przeciąga się na kanapie i złowrogo mruży zielone oczy. Ustawiłam koszyczek na górnej półce oszklonego kredensu i zamknęłam. Nie dostanie się tu Kota ani Bury. Leciutko pukam palcem w szybę kredensu. Natychmiast ukazuje się z koszyczka szeroko rozwarty dziób. Otwieram drzwiczki kredensu, wkładam w ten dziób trzy muchy, znów zamykam kredens. Tyle mam z nią kłopotu, i nawet prawie żadnej nadziei, żeby się wychowała. Bo czyż mogę karmić ją tak, jak jej matka, która od świtu do nocy co chwila coś przynosi? a ja karmię co godzina, daje jej po kilka much i coraz bardziej mam ochotę dać jej jak najwięcej na raz, żeby potem mieć spokój.

Ale żyje już kilka dni i ma się dobrze. Może jakimś cudem się wychowa.

Fornal Teofil przyniósł mi małego drozda. Trzymam go w pudełku od papierosów, wysłanem trawą i pierzem, karmię dżdżownicami, które wygrzebują z ziemi na podwórzu za stajnią.

I jeszcze mam pięcioro dzikich kaczątek. Śliczne! Malutkie, czarno-żółte, całe w puchu, ruchliwe, biegające, z oczami, jak paciorki.

Właśnie czarna kura wysiedziała kaczęta i wodziła je po podwórzu. Przyłączyłam te dzikie do nich, ale kura biła je dziobem, tak że uciekły od niej i musiały same dawać sobie rady. Tak śmiesznie maszerują rzędem przez podwórze, malusieńkie, jak puchowe kulki. Mądre! Zaradne! Kot ich nie rusza, zapewne myśli, że to domowe kaczęta.

Żywię je muchami, zabijanemi klapką po ścianach.

Zabite muchy spadają na podłogę, gdzie

czyhają na nie kaczątka. Tak są mądre, że przybiegają same na odgłos, a nawet na widok klapki. Sypiają w sieni w skrzynce z sianem. Same do niej przychodzą co wieczór, ale wskoczyć nie mogą, bo skrzynka za wysoka; czekają więc, żeby je wsadzić. Tak się dobrze chowały, i oto jedno ginie przydeptane czyimś butem, drugie— przyciśnięte drzwiami, trzecie, uderzone kopytem konia w podwórzu.

Stało się.

Staram się nie myśleć o tem trojgu i zapomnieć. Ach! żeby choć tych dwoje dało się wychować! Biorę je w ręce. Okryte puchem, miękkie woreczki, wypchane watą, jak poduszeczki do szpilek. Karbowane, płaskie dzioby; niezdarne błoniaste łapy. Wszystko razem pogodne, śmieszne i pełne zaufania. Idę sobie z niemi do ogrodu, kładę się w sadzie pod jabłoniami, a one przy mnie poskubują trawę, cichuteńko piszczą, gaworzą. Ale nie mogę długo bawić się z niemi, nie mam czasu. Muszę iść, bo tam za szybą kredensu jaskółczak rozdziera nienasycony dziób, a drozd w pudełku krzyczy jeść!

Biegam od jednego do drugiego: tu muchy, tam liszki, to znów z łopatką za stajnię po dżdżownice...

Wszyscy się ze mnie śmieją, ale śmieliby się stokroć więcej, gdyby wiedzieli, żę w krzaku leszczyny, na samym końcu ogrodu, siedzi opierzony już wroniak i otwiera potworną gardziel, a ja biegam tam chyłkiem po kilka razy na dzień i wrzucam w tę gardziel całą sporą żabę, albo kilka malutkich. Łapię je na łące.

Z tym wroniakiem to było tak:

Szłam sobie za ogrodem przez piasczysty pagórek, porośnięty niską sośniną i drobną, szorstką trawą. Aż tu nagle zastępuje mi drogę wronię już opierzone, ale niezdarne, pokraczne, na zgiętych nogach, z otwartym dziobem, i krzyczy „jeść!“ chrapliwym głosem.

Chować wronę poto, żeby potem porywała kurczęta i gęsięta? żeby zjadła mego jaskółczaka i drozda i moje dzikie kaczątka? i małe słowiki z wiadomego gniazda, na krzaku jaśminu?

To przecie niema sensu. Czy za mało jest wron na świecie, żeby z takim trudem podtrzymywać życie tej jednej?

Lecz pomyślcie sami: czy ja mogę zawieść zaufanie takiego wroniaka, który poprostu sam wszedł mi w ręce, otwierając swój straszny dziób? Uplotłam mu ze słomy gniazdo, w krzaku leszczyny, przy końcu ogrodu, włożyłam go tam i kilka razy na dzień noszę mu jeść. Na szczęście wroniak nie jest wybredny, pożera wszystko, co mu daję, spoglądając na mnie popielato-błękitnem, mdłem okiem. Otwiera czarny dziób i kracze, kracze... Może tem krakaniem ściągnie rodziców, którzy przylecą, i zdejmą ze mnie ten ciężar.

II.

W czasie sianokosów przyniesiono mi dwa małe zajączki. Poję je ciepłem mlekiem z łyżeczki. Piją niechętnie. Czasem który z nich raczy zjeść odrobinę listka sałaty, ale nie sądzę żeby się miały uchować. Trzymam je na kolanach, jak dwie kule szarego, miękkiego puchu. Serca im tak biją, tak biją... W końcu mrużą się łagodne, wypukłe, śliczne oczy, uszy się kładą, zajączki usypiają. Siedzę cicho, żeby ich nie zbudzić. Jak się wyśpią, zaniosę je do ogrodu na trawę. Będą kicały po trawie leniwie, powoli, poruszając nieustannie nosem. Gdy się zaczną nazbyt oddalać, wezmę je za uszy jak dwa woreczki z futra zaniosę do koszyka i znów spróbuję nakarmić, a one będą się wykręcały i oblewały mlekiem.

Leśniczy przywiózł mi w worku na sianie małego koziołka. Zabili mu matkę.

Koziołek ma na grzbiecie dwa rzędy białych plamek. Jest malutki, niewiele większy od naszej Koty. Pomyślcie tylko, co się stało: koziołek ssał mój mały palec, bo tak tęsknił za matką, a Kocie pozdychały właśnie dzieci, chodziła i miauczała, szukając ich wszędzie. Dla żartu położyłam przy niej koziołka — Kota nic. Koziołek przytulił się do niej, trąca ją w brzuch, w końcu zaczął ssać — Kota nic. I teraz leżą razem na sienniku, między kredensem a szafą. Kota liże koziołka, a on ją ssie jak matkę; bardzo się kochają. Ale mleko Koty nie wystarcza koziołkowi. Muszę go prócz tego dokarmiać kilka razy dziennie ciepłem mlekiem ze spodka. Psy się oswoiły z koziołkiem i wcale go nie ruszają. Nazwaliśmy go Kubuś, ale on tego wcale nie rozumie, bo jest mały i niemądry. Na wołanie nie przychodzi, ale za to biegnie za każdym, kogo zobaczy. Jak podrośnie i nabierze rozumu, będzie biegał tylko za mną i będzie moim towarzyszem i przyjacielem. Taki śliczny jest ten mój Kubuś!

Mam także małego jeża. Znalazłam go w le-

się, na skraju drogi, wśród suchych liści. Nie uciekał i nic nie mówił, gdym go zabrała i niosła do domu w kieszeni fartucha. Jest zupełnie oswojony i to sam z siebie. Lubi chodzić po stole, kiedy jemy kolację i wszystkiego musi skosztować. Pije ze spodka herbatę ze śmietanką, byle nie była za gorąca, z masielniczki probuje masła, a także lubi ser. Bardzo jest przyjemny. W dzień — przeważnie śpi w pudełku z sianem koło pieca, w jadalnym pokoju. Gdy go budzić— gniewa się i fuka. Zato w nocy chodzi i tupie głośno; myślałby kto że to duży zwierz. Lubię go, ale jednak mniej niż Kubusia i zajączka.

III.

Minęło lato, pełne słońca, radości i gwaru; rozjechali się goście z naszego białego domu, a dzikie wino, oplatające ganek, zaczyna się już czerwienić.

Moje śliczne kaczątka zmieniły się w szare, dzikie kaczki, z szafirową łatką na skrzydłach; zaczęły stronić odemnie, uciekać, aż pewnego dnia wzbiły się w powietrze i z głośnym krzykiem uleciały w stronę jeziora, wyciągnąwszy w locie szyje. Znikły. Jaskółczak i drozd leżą na cmentarzyku zwierzęcym w rogu ogrodu— a wroniak? Ten napewno żyje i czyha na kurczęta w podwórzu.

Minęło lato, i odeszły odemnie moje zwierzęta, kochani towarzysze długich, dobrych, letnich dni. Dwoje ostatnich wiozę do lasu, żeby je tam wypuścić.

Koziołka Kubusia i zająca Szarutka.

Mój wózek toczy się wśród opustoszałych pól. Teofil, powozi białym koniem, Kubuś kręci się w klatce, służącej do wożenia cieląt na jarmark, a Szarutek tłucze się w zamkniętym koszu.

Ale nie jest to dla mnie żadną pociechą. Odwożę do lasu kochane moje zwierzęta i wcale mi nie jest wesoło, gdy rozmyślam tak, jadąc drogą przez puste pola.

Przypominam sobie, i rozważam, jak to się stało, że muszę z niemi się rozstać. Jak do tego doszło?

Tamte dwa małe, śliczne zajączki zdechły, i pochowałam je na cmentarzyku moich zwierząt. Ten trzeci, Szarutek, większy od nich, dzikszy i mniej przyjemny spoczątku, potem oswoił się i chował doskonale. Jak piesek chodził za mną, i sypiał na moim łóżku, wydłużony, jak wałek z odrzuconemi wtył nogami, z uszami po sobie — taki śliczny! Myślałam, że już zawsze będzie u mnie. Ale w miarę, jak rósł, coraz więcej dokazywał i hałasował po nocach, skakał po krzesłach i stołach, budził wszystkich tak, że musiano go zamknąć na noc w komórce. Przesiedział tam kilka nocy i dni, bo właśnie musiałam wyjechać, a bezemnie bano się go wypuszczać, żeby mu się co złego nie stało. Wróciwszy, pobiegłam do niego, i doprawdy, nie wierzyłam oczom, że przez tydzień mógł tak zdziczeć. To już poprostu nie był mój Szarutek, tylko zwyczajny, obcy zając, duży i dziki, który na mój widok wyskakiwał do połowy wysokości pokoju, rzucał się na ścianę jakby chciał wleźć na sufit, bił skokami o podłogę, z takim łoskotem jakby miał dom rozwalić. Więc wiozę go do lasu w dużym, zamkniętym koszu, i zdaje mi się, że stąd słyszę, jak mu bije zestrachane serce!

Z Kubusiem znów co innego. Taki był miły, chodził za mną, sypiał w jadalni na podłodze, między szafą i oknem, i zanim się położył, grzebał nóżką, jakby odgarniał mech w lesie. Tak lubił moczone w spirytusie wiśnie i jarzębiny z wielkiego gąsiora z nalewką, i sam sobie otwierał pyszczkiem dolne drzwi od kredensu, gdzie chowano ser.

Był łagodny i słodki. Ale gdy zaczęły mu wyrastać różki pod skórą na czaszce, wszystko się zmieniło. Niech się tylko ukarze dziecko lub kobieta, słodki Kubuś pędzi ze spuszczonym łbem, godzi prosto w brzuch!

Pobódł wszystkich naszych gości, że bali się wychodzić do ogrodu, uciekali z krzykiem... trzeba było Kubusia zamknąć w szopie. Tęsknił. Nie chciał jeść, choć odwiedzałam go ciągle i przynosiłam mu najlepsze rzeczy. I teraz mam do wyboru — albo go wypuścić do lasu na łaskę losu, albo trzymać w zamknięciu, bo na domiar złego ogryza korę z drzew owocowych, a właśnie mamy na jesieni zakładać nowy sad. Więc już wolę go wypuścić, choć niepokoi mnie to, czy on sobie da radę?

Na polach tu i owdzie zaczynają już kopać ziemniaki. Szeregi kopaczy, grochot zsypywanych na wozy kartofli. Powoli toczą się pełne, ciężkie wozy, koła żłobią głębokie koleiny w miękkiej ziemi. Nie, tu nie wypuszczę Szarutka, choć tak się męczy w koszyku, jeszczeby go złapali... niech wytrzyma ten kawałek drogi, w lesie będzie bezpieczniejszy.

I oto wjeżdżamy między pierwsze drzewa lasu, na wąską, głęboką, jak mały wąwóz, leśną drogę. Wóz podskakuje na wystających korzeniach. Wyobrażam sobie, jak Szarutek zamiera ze strachu.

Żółcą się brzozy na tle czarnych świerków. Niżej — małe czerwone, drżące listki młodych osin, i jarzębiny całe w koralach. Jeszcze niżej, bronzowe koronki paproci. Na samym dole zielone łodygi czarnych jagód, a na nich tu i owdzie czerwone listki. Zachodzące słońce przesiewa się przez rdzawe, miedziane liście buków. Pachnie grzybami, świeżością, wilgocią, jesienią, cierpko, rześko... Powinno tu być dobrze moim zwierzętom. Cicho. Teofil schodzi z kozła ostrożnie znosi klatkę z Kubusiem. Otwiera.

Postał przez chwilę Kubuś we drzwiach, węszył, patrzył w głąb lasu, łagodnie, pochmurnie. Wyszedł powoli, obwąchał krzak leszczyny, jeszcze chwilę postał — i ruszył w gąszcz nie oglądając się na mnie. Skończone.

Z ciężkiem sercem odwracam się i otwieram koszyk. Kochany Szarutek nie robił ze mną ceremonji. Przez kilka sekund siedział przycupnięty do ziemi, jak szara gruda, i nagle zniknął. Tylem go widziała.

Powracam z pustą klatką i pustym koszem. Kopacze już wracają, na pola pada jesienny wczesny zmierzch. Robi się chłodno. Chciałabym już być w domu.

Zapalimy na kominku i zasiądziemy przy ogniu, a wtedy ostatni mój letni towarzysz, jeż — Kulka — wyjdzie z koszyka z sianem, gdzie śpi przez większą część dnia, i zacznie tupać, uganiając się wzdłuż ścian kuchni za prusakami...

SALOMEA KISIELEWSKA.

O KOCIE PUSZKU.

(Ciąg dalszy).

PIERWSZY NIEPRZYJACIEL.

„Póki świat światem, pies kotowi nigdy nie będzie bratem“ mówi przysłowie. Podobno ta wzajemna niechęć stąd pochodzi, że niegdyś, bardzo dawno, pies dał kotowi na przechowanie dokumenta rodowe. Kot ukrył je jakoby na strychu, a tam jakoby zjadły je myszy.

Jak to tam było naprawdę, nie wiem, to pewne jednak, że chociaż Puszek nigdy dotąd w swojem paromiesięcznem życiu żadnego psa nie oglądał, kiedy zobaczył, a zwłaszcza usłyszał owego szpica, wygiął się w pałąk, nasrożył i najeżył, zaczął pluć, parskać i w kilku susach znalazł się w najodleglejszym kącie mieszkania, bo za skrzynią z węglem.

Hałaśliwy i ordynarny szpic szastał się tymczasem po całem mieszkaniu (do kuchni go nie puściłam), a Puszek się tak zdenerwował, że nawet, och, jakże miłe, dzwonienie talerzami nie pomogło. Dopiero pod wieczór udało nam się wyciągnąć strachoputa z jego kryjówki, ale i wtedy jeszcze z nieufnością obwąchiwał każdy sprzęt, a pewnych kątów, w których szpic przebywał dłużej, unikał dyplomatycznie.

Przy następnych spotkaniach z psami na letnisku, Puszek okazywał już znacznie więcej zdrowego rozsądku.

PIERWSZA PODRÓŻ.

Po trzech miesiącach tego bujnego, bogatego w doświadczenia bytowania, zaczął się drugi rozdział w życiu Puszka.

Puszek pojechał na letnisko.

Tej pierwszej podróży nieco się obawiałam, wiedząc, jak bardzo wszystkie koty przywiązują się do mieszkania i jak dziczeją na ulicy. Zawinęliśmy więc go w kożuch — ową przybraną matkę, i wpakowaliśmy do ręcznej kobiałki, pozostawiwszy mały otworek do oddychania. Z początku Puszek szarpał się i szamotał, ale potem przerażenie i kołyszący ruch kobiałki tak go oszołomiły, że wkrótce usłyszeliśmy mlaskające ssanie kudłów kożucha, a potem spłynął nań sen-pocieszyciel.

Przy następnych podróżach Puszek, zrezygnowany, usypiał odrazu, bez walki, z większem zaufaniem powierzając się losowi.



WRAŻENIA WIEJSKIE.

Po przyjeździe na wieś Puszek w panicznym strachu wlazł pod szafę, i żadne prośby, ani nawet zapach kiełbasy nie zdołały go stamtąd wywabić. Dopiero po paru godzinach rozmyślań złożył pierwszą wizytę wiadomemu spodkowi.

Zaledwie ten mały koci łebek zdążył zgłębić tajemnicę trzypokojowego mieszkania w Warszawie, aliści przyszło mu znowu poznawać świat tak rozległy, jak pół-morgowe podwórze wiejskie. To też zdziwieniom i przerażeniom nie było końca.

Kiedy go Cesio, który mu w poznawaniu dziwów tego świata gorliwie pomagał, pierwszy raz zaniósł do chlewka z wizytą do świni, stała się rzecz nieoczekiwana: skromny dotąd ogonek Puszka stał się nagle puszystym ogonem angorskim. Po raz pierwszy nabraliśmy pewności co do pochodzenia Puszka.

Odtąd ogon Puszka stał się dla nas wskazówką stanu jego duszy, a raczej stanu jego odwagi.

PIERWSZE UCZUCIA.

Każdy człowiek i każde, choćby najdrobniejsze, stworzenie ma w sobie pewną, większą lub mniejszą ilość uczucia. Koty zazwyczaj przywiązują się do mieszkania.

Ale Puszek został wyrwany nagle z mieszkania warszawskiego, nowe zaś miejsce pobytu okazało się tak duże, że nie było wiadomo, do czego się tu przywiązać. Wobec tego Puszek zaczął obdarzać uczuciem nas, istoty, które były w Warszawie, a są i tutaj.

Zaczęło się od tego, że kiedy wracaliśmy raz z dłuższego spaceru, Puszek wybiegł nam na spotkanie dość duży kawał drogi za furtkę. Ogon radośnie zadarł do góry, miauczał i ocierał się o nas przymilnie. Potem powtarzało sią to stale. Puszek zaczął nawet towarzyszyć nam na przechadzkach, jak pies.

Ale gdy tylko traciliśmy z oczu dom nasz, coś się mąciło w tym ciemnym, małym łebku, bo dziczał nagle, wdrapywał się na drzewa i z trudem udawało nam się go ściągnąć.

Tak walczyło w nim uczucie ludzkie z instynktami dzikusa. (D. c. n.).



G. HECHT, Kierownik szkół powsz.

SZKOLNE KASY OSZCZĘDNOŚCI *)

Myśl założenia w każdej instytucji naukowej szkolnej kasy oszczędności nie jest nową. Dużo już o tem mówiono i pisano przed wojną, i jakkolwiek w Polsce zmysł oszczędności nigdy nie był dość rozwinięty, dużo nawet u nas w tym kierunku zrobiono — wojna na naszym terenie jednak spowodowała, że działalność tych kas oszczędności sparaliżowaną została, sprawa usnęła; dziś Rząd, przystępując do ugruntowania podstaw gospodarczych Państwa, wzywa całe społeczeństwo do współpracy, a mówiąc o podstawach, ma na myśli także i nauczyciela i szkołę i dzieci, bo „jaki nauczyciel — taka szkoła, jaka szkoła — takie dzieci, a jakie dzieci — takie społeczeństwo"; — dziś budzimy „pro bono publico" te kasy oszczędności do nowego życia.

Zmysł oszczędzania w obecnym okresie powojennym w zupełności się zmienił, — spowodowała to wojna światowa, a następnie niepamiętna w dziejach świata inflacja papierowa tak u nas, jak i u naszych sąsiadów (w państwach ościennych). Inflacja bardzo dużo ludzi w zupełności zniszczyła i zrozumiałem jest, że trudno tych dziś namawiać do składania nowych oszczędności do banków lub do kas. Nieufnych i opornych znajdujemy jednak tylko u generacji starszej, — obecnie musimy pukać do uczuć dzieci, do tych przyszłych obywateli i tych przedewszystkiem objąć należy propagandą oszczędności a przez nich — da się może pozyskać i zaufanie starszych.

Szkolne kasy oszczędności mają także swoją historję. Pierwszą taką szkolną kasę założył prof. Franc. Laurent w Gandawie w r. 1866, a za jego przykładem założono więcej takich w Belgji. W krótkim stosunkowo czasie tego rodzaju kasy powstały we Francji, a dziś oba kraje posiadają wzorowo zorganizowane powszechne szkolne kasy oszczędności. Inaczej, ale również pomysłowo urządziła kasy szkolne Anglja na sposób amerykański. — Z władzami szkolnemi tu działają pocztowe kasy oszczędności. Tu nauczyciele sprzedają uczniom(-nicom) marki oszczędnościowe i przylepiają je na kartki oszczędności, a co miesiąc przychodzą do szkoły ustanowieni urzędnicy pocztowych kas oszczędności i z kart oszczędnościowych wpisują sumy do książeczek oszczędnościowych. Sprawozdania szkolne w Anglji wykazują bardzo piękne i dodatnie rezultaty z działalności tych szkolnych kas oszczędności.

I u nas rozpoczęto obecnie bardzo żywą akcję w kierunku propagandy oszczędności.

Kasa oszczędności m. st. Warszawy, która przy swojej instytucji zorganizowała „Wydział dla szkolnych kas oszczędności". Opracowany został również regulamin stosunku miejskiej Kasy oszczędności do szkolnych kas, a na zasadzie tego regulaminu w wielu szkołach działalność już się rozpoczęła. — Kasa oszczędności dostarcza bezpłatnie wszelkich druków i innych materjałów w rodzaju nalepek, kartonów dla oszczędzających i uczniów.

Po zapełnieniu kartony składane są w oszczędnościowej organizacji szkoły, a po uzbieraniu 5 zł. każdemu z oszczędzających Kasa miejska wydaje imienne książki oszczędnościowe.

Rzeczą doniosłego znaczenia byłoby, gdyby nauczycielstwo to zagadnienie na najbliższych swych konferencjach i posiedzeniach Rad pedagogicznych omawiało i po zapoznaniu się z regulaminem i statutem i drukami, które bezpłatnie udziela Kasa oszczędności Magistratu m. st. Warszawy (Wierzbowa 9) bezwłocznie przystąpiło do propagandy oszczędności wśród młodzieży i w ten sposób realizacja szkolnych kas oszczędności posunęłaby się znacznie naprzód dla dobra młodzieży i całego społeczeństwa.

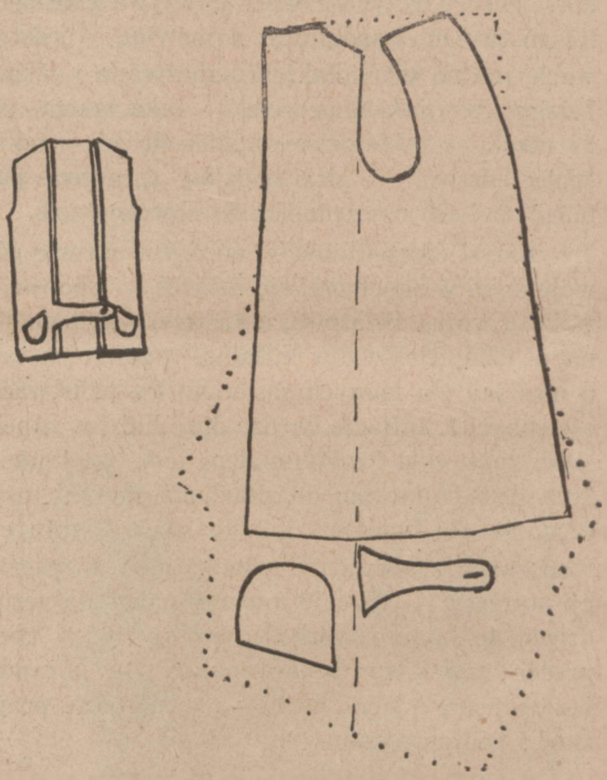
*) G. Hecht: „Szkolne kasy oszczędności" — „Szkoła i Nauczyciel" (Łódź) Nr. 10, grudzień, 1925.

W. POG.

RADY PRAKTYCZNE

Farbowanie w domu wszelkich materjałów.

Każdy spełznięty czy sprany materjał można odświeżyć przez pofarbowanie. Mało jest też materjałów, które by się do farbowania nie nadawały z powodu swej grubości, czy też z innej przyczyny. Materjał, który zamierzamy pofarbować, trzeba przedewszystkiem czysto wyprać, bo wszelkie zanieczyszczenia, plamy, a zwłaszcza tłuste, niedopuszczają farby do materjału. Wyprany materjał trzeba doskonale wypłukać, aby w nim również nie pozostały ślady mydła i można go nie susząc zostawić w zimnej wodzie, aby wprost z tej kąpieli włożyć go potem do farby. Najłatwiej jest farbować materjały w t. z. farbach do farbowania na zimno np. w farbach Brunsa. Farby te dostaje się albo w małych kulkach, na pół kilograma materjału przeciętnie każda, albo w większych tabliczkach. Materjały bardzo nierówno przyjmują farbę. Najłatwiej przyjmują farbę materjały bawełniane, potem jedwabne i półjedwabne, trudniej przyjmują farbę wełny, a najtrudniej trykoty i pończochy. Stosownie więc do jakości materjału i do jego wagi trzeba wziąć mniej lub więcej farby. Farbę, po wyjęciu jej z opakowania, trzeba zawinąć w cienką szmatkę i obwiązać nitką o ile nie jest już fabrycznie opakowana w kawałek gazy. Dobrze jest też farbę rozkruszyć, aby się łatwiej rozpuściła. Następnie trzeba kulkę farby włożyć w garnuszek wrzącej wody i trzymając za szmatkę poruszać nią w wodzie, aż się zupełnie rozpuści i wodę dobrze zabarwi. Garnuszek powinien być emaljowany, jak również większe naczynie w którem się farbować zamierza. Farbę z garnuszka wlać w to naczynie i dodać tyle letniej wody, aby można w niej materjał całkiem zanurzyć. Przed włożeniem materjału trzeba wsypać do wody kilka łyżek soli kuchennej mniej więcej jedną łyżkę na 3 litry wody. Teraz trzeba spróbować, czy farba ma dobry kolor, przez włożenie w nią kawałeczka materji, lub przynajmniej nitki z tego samego materjału. Trzeba przy tej próbie pamiętać, że kolor na mokro jest zawsze trochę ciemniejszy niż po wyschnięciu. O ile farbujemy na kolor niebieski, trzeba zaraz do farby dodać trochę octu. Materjał wkłada się do farby zupełnie mokry i możliwie rozprzestrzeniony, dlatego naczynie nie może być ciasne. Aby farba dobrze chwyciła, dobrze jest naczynie z farbującym się materjałem postawić na kuchni, aby się podgrzało, chociaż kipieć nie potrzebuje. Przez cały czas podgrzewania trzeba dobrze materjał w naczyniu mięszać i ciągle go obracać, aby wszędzie się równomiernie ufarbował. Po trzech kwadransach mięszania trzeba naczynie z kuchni zestawić i zostawić je w spokoju aż do ostygnięcia płynu. Teraz trzeba przygotować sobie drugie naczynie z zimną wodą, do której dobrze jest dodać trochę octu. Przy pomocy łopatki, którą się mięszało trzeba podnieść farbowany materjał nad naczyniem, w którem był farbowany i przytrzymać go tak przez chwilę, zaś nadmiar farby



Wzór kroju kamizelki damskiej, przerobionej ze spodni. (Rady prakt. w 39 n-rze).

spłynie, następnie wkłada się materjał do wody z octem i dobrze go w niej płucze. Potem znów go się podnosi w górę łopatką lub nawet rękami, by przestał już farbować, i czeka aż spłynie woda. Wygniatać ani tem mniej wykręcać wcale niemożna, bo porobiły by się smugi. D osuszenia wiesza się farbowany materjał w miejscu przewiewnem, ale nigdy na słońcu, aby nie spełzł. Po zupełnem wyschnięciu prasuje się materjał i teraz dopiero uzyskuje on właściwą barwę.

Bluzki jedwabne i markizetowe, oraz sukienki dziecinne, można łatwo i tanio farbować płucząc je po praniu w wodzie zafarbowanej na dowolny kolor kolorową bibułką.

Z ŻYCIA SZKÓŁ I OPIEK SZKOLNYCH

Komisja Opiek Szkolnych podaje do wiadomości, że rozszerza w bieżącym roku szkolnym dział księgarski i prowadzić będzie:

a) zaopatrywanie w podręczniki szkolne,

b) zaopatrywanie w pomoce szkolne,

c) urządzanie i kompletowanie gabinetów fizycznych, chemicznych i t. p.

d) kompletowanie bibljotek szkolnych oraz zakładanie ksiąg bibljotecznych i udzielanie fachowych wskazówek.

e) zaopatrywanie w tablice królów polskich, portrety, plany Warszawy i t. p.

Komisja Opiek Szkolnych komunikuje, iż na ogólnem zebraniu Opiekunów Głównych, które odbyło się 6 września b. r. postanowiono zapocząkować tworzenie „Funduszu kolonijnego“. Na „Fundusz“ ten powinny złożyć się składki specjalne składane przez cały rok oraz sumy uzyskane ze sprzedaży zapisanych przez dzieci zeszytów.

Organizacją sprzedaży zajęłaby się Komisja Opiek Szkolnych w porozumieniu z Kierownictwem szkół.

O RÓŻNYCH RZECZACH

50-LECIE WYNALAZKU EDISONA.

W miesiącu ubiegłym święciliśmy pięćdziesięciolecie światła elektrycznego. Minęło właśnie pół wieku od chwili, gdy Tomasz Edison po wielu tygodniach wyczerpującej pracy zdołał skonstruować pierwszą żarówkę. Oprócz żarówki Edison jest wynalazcą wielu innych przyrządów między innemi maszyny do dyktowania, używanej w wielu biurach amerykańskich, gramofonu i in.

Obecnie wielki wynalazca liczy lat 82, lecz pomimo sędziwego wieku nie zaprzestaje ani na chwilę pracy w swem laboratorjum, w którem współpracuje z nim wielu uczniów.

Warto zaznaczyć, iż pomimo inteligencji swojej i bystrego umysłu, Edison nie miał szczęścia do nauki szkolnej. Interesował się bowiem przedewszystkiem techniką, włóczył się często w porcie obserwując maszyny. To też ze szkoły go wkrótce wyrzucili, a na cenzurze umieścili następujące słowa „Zanadto głupi, ażeby go można było zatrzymać w szkole“. Dalsze życie Edisona zadało kłam powyższym słowom. Dziś możemy stwierdzić, iż wielki wynalazca w niejednem przewyższył swych nauczycieli.

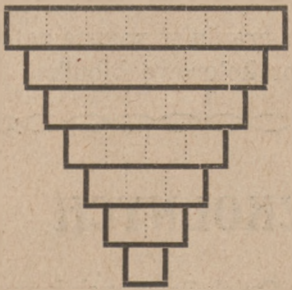
POMYŚLNA PRÓBA SAMOLOTU RAKIETOWEGO.

Jak donosi prasa niemiecka, na lotnisku frankfurckiem, głośny wynalazca, Fritz von Oppel, dokonał pierwszej, udanej próby wzbicia się w powietrze na samolocie rakietowym. Samolot, poruszany siłą wybuchu rakiety, wzbił się w powietrze i na wysokości około 75 metrów przebył przestrzeń 10 km. Lądowanie odbyło się bez wypadku. Lotnik ubrany był w specjalny strój azbestowy.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ŁAMIGŁÓWKA

Ułożył Jerzy Mierzejewski.



Wyraz pierwszy składa się z 7 liter. Z liter tych należy ująć jedną, a z pozostałych utworzyć następny wyraz i t. d., aż dojdziemy do jednej litery.

Znaczenie wyrazów:

1. Ozdoba damskiego stroju. 2. Część drzewa. 3. Część drzewa. 4. Część drzewa. 5. Stworzenie. 6. Miara 7. Samogłoska.

ZADANIE MATEMATYCZNE,

Mól książkowy.

Pan Z. posiadał w swej bibljotece dzieła Byrona w 8 tomach. Pewnego dnia otworzywszy szafę, pan Z. zauważył w szafie móla książkowego, który dobrał się do dzieł Byrona i przegryzł je, zaczynając od pierwszej stronicy pierwszego tomu do ostatniej stronicy tomu trzeciego. Ile stronic przegryzł mól jeżeli pierwszy tom zawierał 700 stron, drugi—640, a trzeci—670?

METAMORFOZY.



Przykład metamorfozy.

T	A	R	A	S
T	A	R	A	N
B	A	R	A	N
B	A	R	O	N
B	A	L	O	N
B	I	L	O	N

Za rozwiązanie wszystkich zadań przeznacza „Redakcja 3 nagrody książkowe. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie dwutygodniowym pod adresem. *Redakcja tygodnika „Świat Dom i Szkoła“ Hipoteczna 5 „Rozrywki Umysłowe“.*

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.

Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.

Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.

WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Konto P. K. O. Nr. 19929.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.